

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.  
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{2}$  strona — 50 zł.  
 $\frac{1}{4}$  „ — 25 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 13 „  
„ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Pierwsza jaskółka.

Trzeba przyznać, że z całej prasy polskiej jeden tylko „Kurjer Wileński” poświęca zagadnieniu stosunków polsko-litewskich dużo miejsca i uwagi. Od szeregu lat czyni to stale i wytrwale. Nie znaczy to jednak, by jego stanowisko w tej sprawie było konsekwentne i niezmiennie. Przeciwnie. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat możemy się spotkać w „Kurjerze Wileńskim” z artykułami o wręcz sprzecznej tendencji.

Był okres, gdy zapatrywania „Kurjera Wil.” niewiele odbiegały od naszych, a bywały momenty, gdy „Kurjer Wil.” wygłaszał poglądy, jakby żywcem zapożyczone z kurjerka krakowskiego. Ostatnio znowu nastąpił zwrot ku umiarkowaniu i pojednawczości.

Trzy artykuły na temat stosunków polsko-litewskich, które zamieścił p. Testis w ciągu lipca, a zwłaszcza ostatni p. t. „Idea niesłusznie zapomniana” jakże się głęboko różnią od wywodów tegoż autora z przed roku. W marcu 1934 r. p. Testis przemawiał wyniośle pod adresem polityków i publicystów litewskich, że „mrzonką jest poszukiwanie kompromisów w sprawie Wilna z Polską... Polska dziś mniej niż kiedykolwiek skłonna jest do koncesyj ze swego stanowiska w sprawie Wilna. Trzeba nie mieć elementarnej zdolności politycznej oceny, aby móc przypuszczać, że może Polska coś w tej dziedzinie ustąpić”.

Zgoła inny ton dźwięczy we wspomnianym artykule z d. 12 lipca b. r. Nic się w sytuacji międzynarodowej w ciągu ubiegłego roku nie zmieniło, jednakże dziś p. Testis nie uważa już, że Polska żadnych ustępstw w sprawie Wilna poczynić nie może i występuje nawet z własnym projektem kompromisu, będącym rozwinięciem pomysłu, wysunię-

tego przed rokiem na szpaltach krakowskiego wówczas jeszcze „Czasu” przez p. W. Milewskiego.

O koncepcji p. W. Milewskiego pisaliśmy swego czasu w „Przeglądzie Wil.”, że jest ona bodaj pierwszą, chociaż niezbyt szczęśliwą, próbą ze strony polskiej kompromisowego załatwienia zatargu o Wilno. P. Testis wtedy pominął milczeniem projekt krakowski. Obecnie zaś ubolewa, że został zapomniany, zmienia go znacznie i zaleca jako temat do dyskusji pomiędzy zainteresowanymi stronami. Co spowodowało tę zmianę — tego nie wiemy. Dość, że nastąpiła, i fakt ten należy powitać z uznaniem.

Na czym polega pomysł p. Milewskiego? Przypomnieliśmy go in extenso w Nr. 9 „Przeglądu Wil.” z r. u., nie będziemy go więc tu powtarzać. Wystarczy przypomnieć, że przewodnią myślą projektu było wydzielenie w Wilnie pewnego terenu, stanowiącego wspólną własność Polski i Litwy, na którymby mógł powiewać sztandar litewski obok polskiego.

P. Testis idzie dalej. Według jego projektu tworzy się w Wilnie enklawa, która jest uznana pod określonymi warunkami za część terytorjum Republiki Litewskiej i która jest poddana władzy suwerennej tego państwa. Enklawa stanowi siedzibę przedstawiciela władzy zwierzchniej Republiki Litewskiej. Może on z niej korzystać według uznania i ma zapewnioną swobodę komunikowania się z resztą kraju (?) i z rządem, rezydującym w Kownie. Łączność z Kownem mogłaby być utrzymywana za pomocą specjalnych linii kolejowej, telegraficznej, telefonicznej i t. ., korzystających jedynie z terytorjum państwa polskiego pod oznaczonymi warunkami, lecz oddanych w pełne władanie władz litewskich i przez nie wyłącznie obsługiwanych. Podstawą prawnopolityczną takiego układu musi być przymierze, oparte na ścisłych konwencjach w zakresie polityki zagranicznej i spraw wojskowych.



Nie wydaje się nam, aby projekt p. Testisa mógł stać się tematem poważnej dyskusji polsko-litewskiej. Litwinom nie chodzi przecież tylko o symbolistykę, przypuszczalnie ważniejszą o wiele dla nich rzeczą jest zapewnienie swobodnego rozwoju narodowego tym ich rodakom, którzy znaleźli się w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Celem ich dążeń jest nietylko Wilno, lecz i litewska część Wileńszczyzny. W pierwszym rządzie więc powinnoby nastąpić utworzenie z Wileńszczyzny odrębnej jednostki terytorjalnej, podlegającej jakiemś condominium. Cóż będzie porabiał ów przedstawiciel rządu litewskiego, rezydujący w projektowanej enklawie w Wilnie? Nie sądzimy również, aby był do przyjęcia dla Litwinów warunek „ściszonych konwencji“ militarnych, które budzą reminiscencje pierwszego projektu Hymansa. Zresztą nie uprzedzajmy wypadków.

Nie wiemy, czy wystąpienie p. Testisa ma charakter indywidualny, czy też jest wynikiem narad w jakiejś grupie, czy może jest to inspirowany balon próbny? Jeżeli to drugie przypuszczenie jest słuszne, to, mimo całej nierealności, projekt p. Testisa posiada swoją wartość, jako wyraz nurtujących w pewnych kołach inteligencji wileńskiej pragnień znalezienia wyjścia z obecnego impasu w stosunkach polsko-litewskich. To już jest coś. Dotychczas dominowało przeświadczenie, że wszelkie usiłowania rozstrzygnięcia konfliktu polsko-litewskiego są daremne, ponieważ obie strony zajmują stanowisko nieprzejednane. Na możliwość kompromisów zapatrywano się sceptycznie. Zresztą uważano ogólnie, że jest zbyt ciężkim zajmowanie się tą sprawą, skoro czuwa nad nią Marszałek Piłsudski. Gdy zabrakło tego czynnika decydującego, poprzednie odrętwienie zaczęło widocznie ustępować. Szkoda tylko, że pierwsza jaskółka, zapowiadająca otrąśnięcie się z letargu, ukazała się w tak nieodpowiedniej porze. W innym czasie wywarłaby o wiele większe wrażenie.

## Wileńscy młodzi katolicy, sanacyjny hurra-patrijotyzm i protektorat Poznania.

Swego czasu „Przeгляд Wileński“ dał życzliwy wileńskim młodym katolikom i ich organowi „Pax'owi“ artykuł, do którego redakcja dodała zastrzeżenie, jak się okazuje, słuszne. Tak się bowiem stało, że rychło potem ster „Pax'u“ objął dr. Wł. Arcimowicz, stały współpracownik „Kurjera Wileńskiego“, produkujący się również we „Włóczędze“, gdzie zresztą nie był odosobniony, bo i inni z menerów „Pax'u“ głos tu zabierali. Trudno więc traktować ten fakt, jak dziwny tylko zbieg okoliczności, a nie pewien symptomat, który znamionuje sobą wiele mówiące zrosty ideologiczne.

Rozumiemy dobrze i nie mamy żadnych złudzeń, że nasze stanowisko krajowe wcale nie obowiązuje wzmiankowanej grupy wśród młodzieży wileńskiej. Uważamy więc za słuszne rozpatrzyć jej ideologię jedynie z punktu widzenia, że tak powiem, *dzikiego* katolika, jaki równie daleki jest od katolików endeckich, jak też katolików ze „Słowa“, lub innych jeszcze partyjnych ugrupowań katolickich, jakie są w Wilnie.

Współczesne państwo... Domagających się tu zaraz od nas określenia scholarskiego, czem jest ono, odsyłamy siebie, rzecz prosta, do odnośnych podręczników. Wystarczy powiedzieć, że jest ono całkiem amoralne.

Odrzućmy też pokutujący od czasów św. Augustyna i jego *Civitas Dei*, romantyzm państwowości, który jak niebo od ziemi daleki jest od rzeczywistości. Niech nas nie mylą ani powoływanie się w konstytucji na Boga, ani przysięgi, żądane dziś od rządzących i rządzonych, ani udział rządów *in corpore* w kongresach religijnych i w procesji Bożego Ciała (por. przedwojenne wiedeńskie z udziałem dworu cesarskiego), ani protektoraty nad misjami zagranicznymi i t. d. i t. d. Odrzućmy na chwilę te gronostaje, brokaty, krzyże na koronie, sceptrze i jabłku..., a przyjrzyjmy się współczesnej państwowości, jak wygląda w istocie, ubrana na codzien, lub wtedy, gdy w neglizju, zmienia swe rządy jedne na drugie.

Głęboka amoralność państwa współczesnego kazała czasu wojny światowej sprowadzić na teatry działań wojennych Europy liczne kolorowe wojska

## Narocz.

Głośno w prasie polskiej ostatnimi czasy o jeziorze Narocz. Teren sportowych popisów i wycieczek turystycznych stał się widownią jednej z tych tragedji, które stwarza bezduszny centralizm, nie rozumiejący i nie uznający odrębnych warunków społeczno-ekonomicznych naszego kraju.

Na czem polega ta tragedia, o tem da pojęcie poniższa relacja, oparta na materiale, zebrany bezpośrednio na miejscu przez piszącego te słowa.

Nad brzegami jeziora Narocz rozłożyło się wieścem kilkanaście wsi, których ludność wynosi łącznie do 2 i pół tysiąca.

Wsie te są biedne, ludność uboga, ziemia małorodzajna i jest jej niewiele. W czasie nadziałów i uwłaszczenia włościan wypadło na rodzinę po 10—

15 dziesięcin, dziś oczywiście, skutek przyrostu ludności wypada na gospodarstwo po pięć, trzy, nawet dwie dziesięciny, a są i tacy, którzy i tego nie mają. Liczne wsie jak Podrezy, Pasynki, Ulryhi, Ściepieniewo mają dzisiaj nadziały jeszcze mniejsze. Wieś Koczergi liczy 30 gospodarstw na obszarze 90 ha łącznie z pastwiskami. Wieś Nanosy posiada wprawdzie nadziały większe, ale — jak mówią chłopci — „wietier tam oret, wietier boronujet“ — lotne piaseczki. Czy można wyżyć z rodziną złożoną z sześciorga osób z 3-ch hektarów ziemi? Nie, nie można. A przecież ci chłopci żyją i jakoś niesłychać, żeby umierali z głodu, zapyta sceptyk.

Owszem żyją, ale żyją właśnie dzięki jeziorzu. W okresie uwłaszczenia otrzymali chłopci nadziały gruntów. Ale że nadziały były małe i nie mogły ich wyżywić, władze rosyjskie zezwoliły wsiom nadnarczańskim łowienie ryb w jeziorze, jako pewnego rodzaju kompensatę małych działek i jako środek



kolonialne i pchnąć je na białego człowieka tejże rasy i tejże kultury. Uczyniło to właśnie państwo, które zawsze zwykło było chwalić się specjalną zleconą mu misją wśród ludzkości i ma pretensje do przewodzenia światu—Francja.

Ta amoralność bezdenna była przyczyną, że *Republique Française* nie zawahała się w miastach swoich, gdzie stały półdzikie wojska kolorowe, urządzić dla przemitego tego bractwa domów publicznych, w jakich białe wykolejone rodaczki, *Jeannettes* i *Henriettes* obsługiwały, za wydanemi przez władzę francuskie bonami, czarnych sprzymierzeńców Francji w jej walce o *najwyższe dobra ludzkości, o wolność i honor, o uratowanie kultury i uznanie praw człowieka* przed barbarzyńskim *bochem*...

A cała ohyda służby wywiadu i kontrwywiadu.

Współczesne państwo dwu czy wielotorowość swej moralności podniosło do stopnia dogmatu moralnego. Często tedy jedną ręką rujnuje to, co drugą buduje lub chciałoby niby zbudować. Umie ono jednocześnie szerzyć oświatę i—popierać ciemnotę, umoralniać i—demoralizować, dawać pracę jednym i—wyrwać ją drugim, budować i—burzyć...

W parze z tem idzie, że nowoczesne państwo samo nie czuje się już dość uprawnionem do żądania, by jego prawa obowiązywały kogoś naprawdę w sumieniu. Poprzestaje więc na żądaniu podporządkowania się formalnego a zewnętrznego, mało lub nic zgola nie troszcząc się o dziedzinę sumienia swych podwładnych.

Znakomity socjolog Biederlack często zwykł był na wykładach swych powtarzać, że trudno dziś naogół żądać od obywatela, by uważał wydane przez państwo prawa i ustawy cywilne za *obowiązujące go w sumieniu*, skoro sama nazwa sumienia prawie już znikła ze słownika, którym się posługują rządy państw i narodów. Ci, co dziś sterują nawami władzy państwowej, nie tają wcale, że nie uważają już sumienia za coś określonego, realnie istniejącego. Dla nich ono to albo czczą fikcją, albo wynikiem jakiegoś procesu chemicznego w mózgu, albo poprostu, jak powiedział jakiś satyryk, *Kopfmuskelspannungsempfindungen*. Gdy tak się myśli i czuje, mówi, dzięła u góry, byłoby naiwnością ze strony państwa oczekiwać u dołu wśród ludzi jakiejś specjalnej czelobitności dla siebie i — wewnętrznego poddania się. *Legislatores non curant de conscientia ideoque leges civiles non obligant in conscientia*, mawiał prof. Bie-

derlack. Tak już było przed trzydziestu laty, a dziś napewno nie jest lepiej. Dyktatorzy naturalnie nie mogą umocnić *morale* społeczeństw, raczej tylko osłabiają.

Powyższe wcale nie jest odrzuceniem idei państwa jako takiego lub niedocenianiem jego walorów i możliwości. Cóż! samo państwo coraz mniej dba o swój autorytet. Oportunizm triumfuje tu na całej linii. Siłą rzeczy racja bytu państwa, w okresie *dzisiejszej jego dekadencji moralnej*, sprowadza się do pełnego rezygnacji stwierdzenia: *Ano, jednak lepsze nawet złe państwo niż anarchja*. Jednak co żywotne jest, nie może zasadać się na tak wąskiej bazie ideowej. Rzec bowiem, mająca zbyt już wąską podstawę, staje się przez to chwiejną a niepewną. Trzeba tedy szukać szerszej podstawy.

Jakiż z tego wnioszek? Nie inny jak ten, że katolikowi nie wolno państwa współczesnego idealizować, apoteozować (statolatryja). Natomiast będzie on stale wymagał, by przedewszystkiem samo państwo wykonało ogrom pracy nad uzdrowieniem wewnętrznym, co nastąpić może jedynie a wyłącznie przez ponowne związanie idei państwowej z rudymentami moralności chrześcijańskiej, o której Goethe, acz sam poganin, powiedział dobitnie: *Über das Christentum ist nicht hinaus gekommen!*...

Kończąc cytując tej miary katolika i polityka, co Paweł Popiel: *Ostrzegam was, kochane dzieci, i wszystkich naszych zasad ludzi: stronnictwo katolickie nie powinno być nigdy rządowem*. Kościół stoi ponad wszystkimi rządami, dynastjami; wszystkie, jeżeli prawe, uznaje, jeżeli dobre, uświęca, kieruje, oświeca, ale *żadnego nie jest i stać się nie może narzędziem*. Jest podporą władzy, ale *nie nigdy bezpośrednio*, i w tem cała polityka nasza i Kościoła". (Pamiętniki Pawła Popiela).

\*

W r. bieżącym organ młodych katolików w Wilnie „Pax” przeżył jeszcze jeden etap swej ewolucji. Ponieważ kontakt z „Kurjerem Wileńskim” oraz z „Włóczęgą” nie mógł być ścisły i pełny, „Pax” związał się wydawniczo i ideowo z Poznaniem i dziś już wychodzi, jako organ bratnich środowisk Wilna i Poznania. Zbyt wyraźne ma oblicze Poznań, by o niem dłużej trzeba było tu mówić. Katolicyzm poznański — imponuje (liczbą, organizacją), lecz nie pociąga. Hurra prorządowość pierwej, grawitowanie do Poznania dziś—ostatecznie wytłumaczyć mogą,

umożliwiający im z jednej strony znośny byt, z drugiej wykonywanie powinności skarbowych.

Na tej podstawie—a oczywiście, że ta podstawa oparta jest skolei na zwyczajach i praktyce jeszcze dawniejszej—wszystkie wsie okoliczne bliższe i dalsze korzystały z prawa wstępu i z prawa łowienia ryb na jeziorze. Wykonywali swe prawa bardzo skrupulatnie, łowili niewodem lub podwołoką, zastawiali małe siatki, lub poprostu łapali na wędkę. Za czasów rosyjskich jezioro bywało parokrotnie wydzierżawiane prywatnym przedsiębiorcom. Gdy się zdarzał dzierżawca, który pragnął sobie zawarować wyłączną eksploatację i próbował chłopów pozbawić ich praw, ci nieustępowali, sądzili się do upartego i ostatecznie zawsze sprawę wygrywali. Stąd pozostała do dnia dzisiejszego tradycja, która każe im raczej ostatnią krowę sprzedać na proces, niż wyrzec się praw, które im przysługują.

Wprawdzie nie każdy chłop jest rybakiem. „Ry-

bak” to tylko ten, który posiada niewód lub podwołokę. A obie te sieci to sprzęt bardzo kosztowny. Kosztuje kilka tysięcy złotych. To też nie każdy mieszkaniec, nawet nie każda wieś mogła sobie na niego pozwolić. Na prawie dwadzieścia wsi nigdy nie bywało ich więcej jak osiem do dziesięciu.

Ale była inna rzecz, która dla tych chłopów jest droższa i której się trzymają i z której zrezygnować nie chcą: to *prawo połowu i świadomość*, że jak nędzny kawałek gruntu nie obrodzi, że jak posucha spali hektar żytku lub zgniją od deszczu kartofle—jezioro nie da umrzeć z głodu.

Rybę można złapać choćby na wędkę i głód już da się zaspokoić.

Na posiadanie niewodu składa się często kilku lub kilkunastu włościan, niekiedy nawet parę wsi.

Mimo to, pracę przy połowach otrzymywała zawsze cała ludność. Obsługa niewodu wymaga 30



dłaczego „Pax”, po kilku wstępnych obietnicach i programowych zapowiedziach, rychło przestał być *de facto* organem *młodych* katolików i małodusznie usunął się od omawiania najaktualniejszych zagadnień katolicyzmu, jak uniwersalizm Kościoła, ciężące na nim a sprzeczne z jego ideą naczelną serwituty na rzecz rządów, partyj, organizacyj, wciąż otwarty jeszcze stosunek do świata pracy i t. d. i t. d. „Pax” przezornie nie tknął żadnego z tych zagadnień, dobrze pamiętając jak go niełaskawie przyjęły na początku „Słowo” i in. Wolał rozprawić o sztuce, drukować fantazje A. Gołubiewa, wierszyki, poszukiwać prochów Witolda (rzecz niewątpliwie chwalebna, lecz nie na miejscu)... Dużo też było innego błakania się i wszelkich dywersyj. Wydawcy, redaktorzy i współpracownicy „Pax’u” zarekomendowali siebie wyraźnie, jako *sidera errantia*.

Zrosty ideowe z dzisiejszym „Kurjerem Wileńskim”, „Włóczęgą” lub Poznaniem nie zapłodnią twórczo „Pax’u”. By młodzi katolicy naprawdę mogli coś zdziałać w kierunku właściwym, trzeba studjów rzeczy katolickich u źródła i żmudnej a ofiarnej pracy przy badaniu dróg starych i przekładaniu nowych.

P. Kantryba.

## WOLNA TRYBUNA.

# Lud czy naród?

Gdyby komuś ze świadomych narodowo Białorusinów zadano pytanie: czy Białorusini — to *lud*, czy *naród*? — napewno zachnąłby się z oburzeniem: jak można podobne pytanie zadawać!

Istotnie, nie może być dziś już dwóch zdań co do tego, czem są Białorusini. Są oni *narodem* w szerokim rozumieniu tego słowa.

A jednak — znalazł się organ białoruski, który uznał za możliwe zestawieć Białorusinów z... Negramil!\*)

Czy to wynik nieprzemyslenia? Prostu — *lapsus linguae*?

\*) „Biełar. Krynica” z dnia 10 lipca 1935 r. Nr. 28 — artykuł wstępny.

tylko ludzi, ale do połowu zgłasza się zawsze ilość kilkakrotnie przewyższająca zapotrzebowanie.

Nadwyżki w podaży siły roboczej nigdy nie odprawiało się z kwitkiem, nigdy się nie mówiło: dla was już niema zajęcia. Zatrudnienie otrzymywali wszyscy. Jak się to dziać mogło? W jaki sposób tym prostym ludziom udawało się oszukać ekonomję polityczną i obejść wszechwładne dzisiaj prawo podaży i popytu rąk roboczych? Oto stawało się to możliwe dzięki archaicznym i patriarchałnym stosunkom, dotychczas nad Naroczą zachowywanym. Polegają one na tem, że część ochotników — owo maximum potrzebne do obsługi — otrzymywało wynagrodzenie podwójne: w pieniądzech i w rybach, reszta zaś, która pomagała przy sortowaniu, ładowaniu, otrzymywała już tylko same ryby. Podczas wielkich połowów panuje inny piękny zwyczaj, świadczący o wielkiem poczuciu wspólnoty, wyrosłej na podłożu jednej dla całej ludności doli i niedoli.

Nie. To wynik osobliwego ujmowania sprawy białoruskiej. To objaw działalności tej części społeczeństwa białoruskiego, którą to pismo reprezentuje. Bo działalność chadecji białoruskiej zagadnienie *narodowe* w praktyce jak gdyby stara się zacieśnić do zagadnienia *ludowego*.

Szerzenie hasel niepodległościowych w polityce nie ratuje sytuacji. Niepodległość państwową — to wynik, to forma nieodzowna bytowania narodu, który w swym rozwoju kulturalnym i świadomości narodowej przerasta ciasne ramy, narzucone mu przez obcą państwowość.

Chadecja poza pracą swoją, skierowaną przeważnie do budzenia świadomości narodowej, do takiego przerostu kultury narodowej jednakże przyczyniła się minimalnie. Działalność jej sprowadza się do roboty tak-zwanej „ludowej”.

W dziedzinie *kulturalno-oświatowej* — dawać ludowi wiedzę w postaci najpopularniejszej — jak dzieciom. W twórczości *literackiej* „dobre chęci” uważać za dostateczne, by zastąpić talent, zastąpić piękno. W kształceniu *muzycznem* — ograniczyć się do bardzo skromnego śpiewnika, zwracać ludowi jego własną twórczość. Życie *duchowe* zacieśnić do spraw konfesjonalnych... I to — wszystko. Kultura — w minjaturze!

Dla *ludu*, który jeszcze nie ma szerokich aspiracji narodowych, możeby tego narazie wystarczało. Tak lat 25 temu. Ale dla *narodu*, który posiada swoje uniwersytety, akademję nauk, rozwiniętą twórczość literacko-artystyczną, a w dziedzinie polityki proklamował niepodległość swojej ojczyzny — tego stanowczo zamało! Co prawda, z tych instytucyj, z tych krynic twórczości artystycznej, bijącej na Wschodzie — za kordonem, Zachodnia Białoruś korzystać nie może. Ale nie znaczy to, że tempo rozwoju kultury narodowej tu, na Zachodzie, musi być tak... ślimacze!

Kto od lat kilkunastu przynajmniej śledzi za rozwojem ruchu białoruskiego w Polsce, stwierdzić musi bezstronnie, iż Białorusin ma szerokie aspiracje — nie ludowe, ale *narodowe*. Nie chce być ludem, — chce być narodem w myśl pięknego określenia Janki Kupały: „ludźmi zwacca”. Chce stanąć na poziomie narodów kulturalnych świata. Stąd — dążenie do stworzenia własnej inteligencji, dążenie do kształcenia dzieci w gimnazjach i uniwersytetach, chociaż to wymaga nadzwyczajnych wysiłków. Stąd —

Po ukończeniu połowu ściąga na brzeg biedota najbliższych wiosek, kobiety i dzieci. Rybak obdarza ich wszystkich małemi, nie mającemi większego zapotrzebowania rybami i w zależności od rezultatu wyprawy, każda kobieta ze wsi, każde dziecko, otrzymywało często po parę kilo drobnicy. Tradycja ta jest tak silna, tak zakorzeniona, zwyczaj to tak uświęcony, że trzymali się go nawet przedsiębiorcy Żydzi.

Dziś jest to samo.

A czem był Narocz dla okolicznej ludności, wykażała wojna światowa i parę lat następnych. Wojna zniszczyła chłopom gospodarke. Schrony i rowy strzeleckie przeorały nietylko pola i lasy, ale zrównały z ziemią całe wsie. Wypędzeni przez Niemców w jednych często siermięgach kryli się po lasach lub dalszych wsiach, cierpiąc głód, chłód i nędzę. sami nie wiedząc za co, dla kogo i poco. Po burzy wojennej niewielu znalazło swoje sadyby. Ślady



walka o szkołę powszechną w języku ojczystym bez względu na „ostrzeżenia“, że kształcenie dzieci w języku białoruskim nie daje tych korzyści, jakie daje kształcenie w polskim. Stąd — ofiarność włościanina białoruskiego, który ze swej krwawicy buduje domy dla gimnazjum (Budstaw), czy bursy białoruskiej (Nowogródek), wozi budulec, pracuje ofiarnie przy plantowaniu terenu etc. To już nie utylitaryzm budowy — to ideowość narodowa!

Autor artykułu niniejszego był obecny kiedyś przy zwiedzaniu Muzeum Białoruskiego w Wilnie przez grupę włościan białoruskich. Przyszli do Wilna z jakąś pielgrzymką. Z jakim poczuciem swej godności ludzkiej i narodowej mówili, patrząc na zebrane tu pamiątki: „Usio heta—nasza!“. To już nie dzieci, którym potrzebne są bajeczki dziecinne. To ludzie świadomi kim są i czego pragną.

Abstrahując od chadecji i jej działalności, zaznaczyć należy błąd, popełniany przez wszelkiego rodzaju pisemka „ludowe“. Do ludzi dorosłych przemawiają jak do dzieci. W ruchu białoruskim pismo „Nasza Niwa“ odegrało wybitną rolę właśnie dlatego, że nie poszło utartą drogą i przemówiło do włościan białoruskich jak do ludzi dorosłych, a nie dzieci. W tam—sekret powodzenia „Naszej Niwy“. Zaznaczała to w swoim czasie zarówno prasa ludowa polska, jak i rosyjska, wskazując na „Naszą Niwę“, jako na wzór do naśladowania. — Jeśli to było ćwierć wieku temu, to jakże od owych czasów musiał Białorusin wyrosnąć duchowo w okresie wielkich wydarzeń politycznych — wojny, rewolucji, budownictwa nowych państw, walki o swoje „miejsce pod słońcem“?! Wyrastanie to ujawniło się i na Wschodzie i na Zachodzie w równej mierze, choć w odmiennych formach. Ale i tu i tam ujawniło się w czynie.

I dziś Białorusin, który przerósł już „ludowcość“, żąda stawy duchowej pełnowartościowej, a nie jej surogatu. I dziś zestawianie dążeń narodowych Białorusinów z dążeniami rasowymi półdzikich\*) Murzynów jest rażącym błędem, tak charakterystycznym dla psychiki wyznawców anachronicznej już dziś ideologii „ludowcowej“, wzorowanej na rosyjskim „narodniczestwie“.

H. B.

\*) Tak określa ich właśnie „Biel. Krynica“.

licznych wsi znaczyły tylko pół-zrujnowane kominy.

Znajdowali chwilowy przytułek w opuszczonych żel-betonowych schronach i żywili się suszoną leśną paprocią i wysoką trawą zwaną „byczki“, zmieloną na mąkę, przyrządzoną razem z rybą, złowioną na wędkę. Większe połowy były narazie niemożliwe: pociski armatnie pogłuszyły moc ryby, a drut kolczasty obficie zaścieniając dno, rwał sieci. Ale powoli, zwykłym prawem biologii rybostan się odradzał: wracały lepsze połowy i w ten sposób Narocz, pierwsza Narocz, udzielała chłopom pomocy. Złowioną rybę wyprzedawali w dalsze okolice, po kupowali konie, orali powojenne ugory i zasiewali niedawne pobojowiska.

I w ten sposób, z pomocą Naroczy, która była dla nich matką—karmicielką, w uporczywym trudzie odbudowywali swoje siedziby.

Narocz w latach głodu, wojny, nieurodzaju —

## „Prowincja ma głos“.

Pytajnik obrzumi jak balon, jak mara wyrósłby przed czytającym powyższy afiszowy tytuł okiem każdego nieco krytycznego obywatela, nie mówiąc już o ideowym „krajowcu“, wzdychającym, jak dusza czyścowa, do kropelki upragnionego indywidualizmu, swobody, naturalności.

Pytajnik taki wyrósł i w moich oczach, gdym przeczytał ów tytuł w ogłoszeniu o mającym się odbyć w naszym miasteczku odczytanie na powyższy temat znanej literatki p. Dobaczewskiej.

Aforyzm literacki, czy zwyczajna, trąca demagogiczną perfidią jaskółeczka przedwyborcza? Przykro takie pytanie wiązać z osobą skądinąd zasłużonej prelegentki. Tak czy inaczej, — podziwiać naprawdę trzeba odwagę p. Dobaczewskiej, która wobec czarnej przeczącej rzeczywistości odważyła się wystąpić z takim twierdzeniem...

O tej to rzeczywistości (o ile prowincja ma głos) — słóweczko.

Na wstępie swego odczytu szanowna prelegentka, z ubolewaniem stwierdzając upośledzenie prawnospołeczne i obywatelskie prowincji, przyznaje, że temat wygląda wprawdzie na aforyzm lecz, ona ma być tą zwiastunką „lepszego“ doli dla biednej zahukanej prowincji, mianowicie: tworzy się pono gdzieś jakiś nowy front regionalnej kultury (nie polityki?) który nareszcie ma dać prawo inicjatywy i głosu prowincji w wielkim dziele państwowo-twórczym.

Regionalizm! Cóż to za wzniosła i ze wszechmiar słuszna rzecz! — słyszymy w wywodach p. Dobaczewskiej i następnie podczas dyskusji ze strony miejscowego inspektora szkolnego. Regionalizm nie tępiący, lecz rozwijający naturalne cechy dodatnie i zdolności indywidualne oraz etniczne wcale nie szarej (a jakże) prowincji, wyłowi na powierzchni życia i pracy jednostki utalentowane, przedsiębiorcze, wzbogaci nowymi wartościami skarbnicę kultury, wykrzesza zamierający tu na „kresach“ entuzjazm państwowo-twórczy, umożliwi samowystarczalność gospodarczo samorządową i t. d... i t. d... Słowem — regionalizm — to zbawczy postulat doby obecnej! Precz zatem z dotychczasowym nudnym szablonem centralizmu, co wszystko i wszystkich chce równać i mierzyć jednym zabójczym strychnicem.

ratowała od śmierci, w latach spokojnych i zasobniejszych dawała polepszenie bytu.

Nie sposób się po tem dziwić, że ludzie ci otaczają Narocz miłością i przywiązaniem, że się z tem jeziorem żyli i związali na dolę i niedolę.

Dlatego też, gdy na ten cały pozornie skomplikowany, ale w gruncie prosty i ustalony system gospodarki chłopskiej, na te wszystkie zwłaszcza psychiczne i uczuciowe elementy, wiążące Narocz z bytem tych ludzi przyszła ustawa rybacka z roku 1932, to nieumiętna i niedelikatna próba jej zastosowania wywołała burzę, która do dziś jeszcze wcale nie ucichła.

Oczywiście, nie potrzeba zbyt długo nikogo przekonywać, że dotychczasowy sposób gospodarki chłopskiej na Naroczy był przestarzały, że ta gospodarka wymagała poprawy, ale pamiętać trzeba, że wynikała ona z braku kultury i konserwatyzmu. Podniesienie poziomu rybołówstwa jest rzeczą ko-



O, raj, obiecany regionalny raj! któż i kiedy cię będzie oglądał w naszym kraju!

Niestety, dotychczas oglądamy cię tylko na papierze. W życiu, w praktyce zasłania cię nam stale chmura czarnej rzeczywistości, której nawet urzędowy optymizm nie potrafi uczynić przezroczystą.

Cóż nam z tego, że na rozmaitych wystawach regionalnych smakosze pokiwiają z podziwem głowami i pokręcą w rękę piękne wzorzyste nasze tkaniny i wyszywanki, kiedy ze względu na coraz tragiczniejsze ceny produktów rolnych i coraz dotkliwszy brak roli wyrób tych tkanin coraz mniej się popłaca, a sekwestrator, czyhający na nie za oknem, przeznaczył je już na inną wystawę...

Albo coż nam z tego „przyznania” naturalnych osobliwości i zdolności indywidualnych, wartościowych talentów, kiedy wślad za tem „przyznaniem” idzie kulturtreger i depcze te cenne osobliwości, tamując źródło, którem dusza regionalna oddycha — mową matczyną, ten najregionalniejszy, najniezbędniejszy do rozwoju regionalnego czynnik. Dziwna rzecz: — wszystko zdaje się być miłem, regionalnym, tylko nie mowa!

„Rozmawiać tylko po polsku!” — oto przepis, który niedawno oglądałem w szkole pewnej zapadłej poleskiej wioszczyny. Cóż mówić już o nauczaniu, wedle wymogów pedagogicznych, w matczynej mowie, kiedy nauczyciel na pauzie, a nawet i w domu rodzicielskim, napędza nieustannie dźwiatwę, aby jaknajprędzej zapomniała mowę ojczystą, zatraciła swoją najistotniejszą osobliwość regionalną.

— Jaki procent macie — Polaków w szkole? — pyta w mojej obecności pewien przejezdny kierownik szkoły 7-klasowej pewnego prowincjonalnego miasteczka na Polesiu.

— Mniej więcej 30% — pada zdecydowana odpowiedź.

— A jaki procent Żydów?

— Właśnie około 30%.

— To gdzie prawosławni?

— Ci są zaliczeni jako Polacy,

— A Białorusini? Ukraińcy? Poleszycy ostatecznie?

— Niema tu żadnych Białorusinów, ani Ukraińców, Poleszycy zaś są to w gruncie rzeczy Polacy. Autentyczne!

A coż mówić o sprawach wyborczych i samorządowych! — Owszem jest samorząd, ale taki co

sam się rządzi, nas nie pytając; i „ma prowincja głos”, lecz nie swój, tylko sztuczny i narzucony.

A czy nowa ordynacja wyborcza sprzyja hasłom regionalnym? Daje ona, czy odbiera prowincji głos? Czy wieśniak tutejszy nie został jako obywatel postawiony przy tych wyborach w cudzysłów? Gdzież „front regionalny” i co on czyni?

Prowincja ma głos, ale pod warunkiem, że będzie krzyczyć „hurra”!

Drybicz.

## Posiew i plon.

Grodno, w lipcu.

Liczebnością ludności żydowskiej Grodno zawsze ustępowało pobliskiemu Białostokowi, posiadało jednak jej dużo już przed wojną światową. Współżycie ludności żydowskiej z chrześcijańską było tu zawsze znośne, nawet poprawne. Podczas smutnej pamięci przedwojennego pogromu Żydów w Białymstoku, gdzie ulicę zostały zroszone krwią pomordowanych, ranni Żydzi uciekali stamtąd właśnie do Grodna. Dobrze pamiętam, jakie współczucie budziły te obandażowane postacie na ulicach miasta Orzeszkowej. Ustosunkowany w Petersburgu, ówczesny gubernator grodzieński Kister utracił posadę, a szlachetny wice-gubernator Oznobiszyn wniósł podanie o dymisję, usuwając się ze służby administracyjnej, której miał już dosyć.

Nie chcę tu powiedzieć, że wówczas brakowało też w grodzie nadniemieckim prób stworzenia organizacji czarnoseciny. Niel Była nawet taka, ale tworzył ją b. *okołotocznyj* Charczenko i należeli do niej wyłącznie *prawosławni Rosjanie*, przeważnie drobni funkcjonariusze. Ma to swoją dosadną wymowę. Zresztą organizacja ta była słaba, tak swą liczbą, jak dynamiką i co śmielszy Żyd grodzieński nieraz w żywe oczy żartował z jej wodza, udając przed nim w słowach układnych, że się poleca wraz z rodziną łaskawości jego na wypadek ewentualnego w Grodnie pogromu. Bogu dzięki, nigdy jednak wtedy doń u nas nie doszło, chociaż życie ówczesne też niosło rozmaite wydarzenia, krzywdy, zbrodnie. Przy tem wszystkim jednak brakowało czynnika

nieczną, można to przecież otrzymać nie koniecznie tylko za cenę zmniejszenia i tak nędznego kawałka chleba nadbrzeżnej ludności.

Że im się ten kęs zmniejsza, to jest widoczne.

Ustawa rybacka z kwietnia r. 1932 ma na celu zaprowadzenie wzorowej gospodarki rybnej. Dla wykonania tych zadań stwarza zamknięte obwody rybackie podlegające gospodarce i wyłącznej eksploatacji państwa. W Wileńszczyźnie ustawa weszła w życie od kwietnia roku bież. i Starostwo w Postawach wydzierżawiło jez. Narocz Dyrekcji Lasów Państwowych.

Nowy dzierżawca, Dyrekcja Lasów pragnie być gospodarzem wyłącznym i samodzielnym.

Prawa chłopów do połowu, prawa wstępu do jeziora?

Formalnie niby nie mają być naruszone. Artykuły 30 i 33 ustawy przewidują, że „prawa do rybołówstwa przysługujące na podstawie obowiązujących

przepisów prawnych przez wydzierżawienie obwodu nie będą naruszone, bo właściciele rybołówstw będą korzystali ze swych praw, biorąc udział w dochodach obwodu rybackiego”.

Niestety, jest to ideał, który nie sięgnie bruku, jest to przepis, z którego chłopom nic nie przyjdzie. Dlaczego? Po pierwsze: zbyt trudną sytuacją dla całej ludności stwarzają owe „obowiązujące przepisy”, bo iluż to z chłopów znajdzie dowodową i finansową możliwość wylegitymowania się ze swych praw na podstawie obowiązujących przepisów? Iluż to z nich będzie mogło być uznanymi za właścicieli rybołówstw, do którego to tytułu, zresztą, nie roszczą sobie pretensji, uważając się tylko za użytkowników? Dokumenty poginęły, a odszukiwanie ich, nawet jeśli będzie pomyślne, to darmo nie przyjdzie.

Po drugie: jeśli nawet niektórym z chłopów uda się wyjść zwycięsko z labiryntu biurokratycznej formalistyki i uzyskać tytuł do udziału w dochodach,



fachowo jątrzącego, zamieniającego na poczekaniu wszystko w truciznę dla dusz prostaczych a naiwnych, w dynamit zaś dla instynktów zbrodniczych.

Lecz przeszła przez kraj dobrze pamiętna fala wypadków wojennych, a wnet po niej zmagani zwyciężczych a odrodzieńczych. Rozkuto krępujące Kościół kajdany, rozbudowano okazałe szkolnictwo miejskie i wiejskie. I oto właśnie w tym czasie, w lat kilkanaście po wyzwoleniu miasta, kronikarz Grodna zanotować musi rozgłośnie tu ekscesy antyżydowskie z minionego czerwca. Skąpe relacje, jakie przedostały się ze szpalt gazetowych, potwierdzone przez opowiadania świadków naocznych, dają możliwość odtworzyć, co właściwie w Grodnie zaszło.

Początek zajść był taki: pewien podgrodzieński marynarz rezerwista w tegorocznym gorącym czerwcu asystował młodej Żydówce. Niewybredny widać był ten ex-marynarz słonych czy słodkich wód, skoro do jego Fiametty mógł żywić jednocześnie też niedwuznaczne pretensje jakiś krewki alfons podmiejski, rodak i współwynawca wykolejonej dziewczyny. Raz, dwa, i zawrzało wśród ambitnych rywali. Polatała się krew, bo zaciekle alfons tak dźgnął swego konkurenta, że ten rychło potem skończył. D. 7 czerwca odbył się pogrzeb ofiary zbrodni, a niebawem potem szukające pomsty żywioły wyszły na pryncypalną w Grodnie ul. Dominikańską i splądrowały gruntownie sklepy żydowskie, bijąc przytem grabiły to, co pozostało po dziennej robocie. W wyniku tych wypadków, aresztowano 8 Żydów jako uczestników mordu rezerwisty i 40 chrześcijan za pogrom.

Liczbę zabitych i rannych niewątpliwie zechce ustalić dochodzenie sądowe, które wnet się rozpoczęło. Jeśli chodzi o straty materialne, to sięgają one 60—100 tys. zł., co dla niedużego względnie Grodna jest stratą wcale pokaźną. Zajścia powyższe być może nie przybrałyby większych rozmiarów, jeśliby w owych fatalnych dniach część policji grodzieńskiej nie była właśnie na jakiejś extra funkcji na prowincji.

Wiele, oczywiście, przyczyn składa się na to, że od czasu Orzeszkowej tak zmieniła się na gorsze aura moralna ludności m. Grodna i okolic, i co było niemożliwe w czasach niewoli, staje się zupełnie możliwym w dobie wolności. Nie najmniejszą z nich jest, że powojenne Grodno, drobnomieszczańskie

i miejskie, przeorała prasa w rodzaju „Nowego Życia”, wystawiająca smutne świadectwo umysłowemu i moralnemu poziomowi nietylko swych czytelników, lecz przede wszystkim naszej miejscowej chadecji. Tłumaczy ją chyba to, że jeśliby nie naganka na wszystkiemu winnych Żydów, toby doprawdy bieda była ze znalezieniem hasła, dobrego na czas zwykły, a niezawodnego już w okresie przedwyborczym, chociażby jednocześnie głoszone było powstrzymanie się od udziału wyborach.

Fabjan.

## I tak źle, i tak niedobrze.

Jak wiadomo, skauci litewscy z Wilna należą do Związku Harcerstwa Polskiego i z tego tytułu biorą udział we wszelkich imprezach, obowiązujących harcerzy polskich, zachowując swój odmienny strój i własne odznaki. Dlatego też na zlocie harcerstwa polskiego w Spale znaleźli się również delegaci skautów litewskich z Wilna. Dzięki napisowi na rękawie „Vilnius” zwrócili oni uwagę korespondenta b. „Gazety Warszawskiej”, któremu ich wygląd mocno się nie podobał. Włożył więc w usta fikcyjnego zapewne harcerza z chorągwi wileńskiej następujące własne wyznanie: „...tej tolerancji w stosunku do mniejszości to już doprawdy za wiele! Czego tym Litwinom z Wilna na wszystko pozwalają? Obce mundury, napisy „Vilnius”, a potem ich przydzielają do naszych drużyn...”.

Kiedy młodzież litewska, czując się upośledzoną mniejszością narodową, stroni od wspólnego udziału w rozmaitych uroczystościach ogólnopolskich, władze zarzucają jej nielojalność i oskarżają wychowawców o szerzenie ducha buntowniczego, jeżeli zaś jak w tym wypadku, chłopcy litewscy występują razem z kolegami polskimi, narażeni są na niechętnę uwagę ze strony starszych i młodszych „narodowców”.

Jakiejże więc taktyki ma się trzymać społeczeństwo litewskie? Jedyne wyjście chyba — najprędzej wyzbyć się swej odrębnej narodowości. .

a.

## FELJETON.

### Sposób na plagę biurokratyzmu.

Mało kto się domyśla, dlaczego to w tym roku deszcze padają tak bez sensu, właśnie w takim czasie, kiedy są najmniej potrzebne i pożądane. I ja również nie wiedziałem, dopóki mi jeden „czynnik miarodajny” nie wytłumaczył prawdziwej przyczyny.

to i tak prawa ich będą jednak naruszone, a to dlatego, że i przypadający czynsz dzierżawny i sam ewentualny dochód jest nieproporcjonalnie niższy od zysku, jaki miał każdy z nich, wykonywując swe prawa i łowiąc ryby samodzielnie. Dlatego też ludność mówi z przekąsem i o obiecanej tenecie dzierżawnej i o wymagowanych dochodach.

Pomijam to, że obecnie gospodarka Lasów Państwowych, eksperymentująca już na Naroczy od kilku lat jest deficytowa, a wśród chłopów wywołuje ironiczne uśmiechy. Pomijam, że skarb państwa utraci szereg opłat, jak np. od niewodu (800 zł. rocznie), od świadectw przemysłowych tych, którzy uprawiali jednocześnie handel rybami.

Ważniejsze jest to, że przy realizacji nowego stanu rzeczy zostanie uszkodzona cała ludność nadnaroczańska. Aczkolwiek bowiem większych sprzętów rybackich (niewodów i podwołok) na całą oko-

licę było tylko 8, to, jak zaznaczyłem, zatrudnieni bywali przy nich wszyscy mieszkańcy wioski.

Tymczasem Nadleśnictwo może zatrudnić rządowcami niewodami maximum 120 ludzi po cenie niższej, niż dotychczas, latem zaś jeszcze mniejszą ilość, bo 36 osób do sześciu podwołok oraz jakieś 15—20 do siatki stojącej.

Na wędkę wolno będzie łapać tylko 100 ludziom i to takim, którzy potrafią wykazać się świadectwem ubóstwa. To ostatnie jest szczególnie konieczne. Chłop, obarczony rodziną z pięciu czy sześciu osób, siedzący na paru ha słabutkiej gleby, chłop, który — dobrze jeśli parę razy do roku przypomni sobie smak cukru, chłop dla którego nafta i sól jest luksusem — ten chłop musi się jeszcze wykazać świadectwem niezamożności, wydanem przez sołtysa czy wójta!

Część ryb, złapanych przez takich „uprzywiljowanych” trzeba „odprzedać” nadleśnictwu po cenie



Okazuje się, że wszystko pochodzi spowodu głuchoty św. Piotra. Stwórca udając się w tym roku jak zwykle na wypoczynek letni, zawezwał przed odjazdem do siebie św. Piotra i wydał mu zupełnie słuszne dyspozycje: — „Teraz taka pora, że należy dać ludziom na ziemi pogodę, a jak będą mieli za dużo i będą prosić, to zeszlj im deszcz”. Święty staruszek, spowodu wieku przygluchy, — zamiast *prosić*, usłyszał *kościć*, i stąd wyszło całe zamieszanie. Jak tylko św. Piotr dojrzy teraz przez okulary z nieba, że ludzie ostrzą kosy i zabierają się do koszenia, zaraz pluje na ziemię strugami deszczu i falami ulew.

Wszystko to jest zrozumiałe, gdy chodzi o biurokrację niebieską, która jak wiadomo wskutek starości nie zawsze jest w porządku i pozostawia wiele do życzenia. Nawet PIM, obowiązany z urzędu zajmować się wykładnią rozporządzeń niebiańskich, często traci głowę, rozkłada rękami i przyznaje się, że nic nie rozumie. Ale jak wytłumaczyć, że nasza ziemską biurokracja, tryskająca zdrowiem i młodością, pełna radosnej twórczości ma też poważne mankamenty?... Jak wytłumaczyć, że nie budzi szczególnego entuzjazmu w ludności, że ludność ta w swoich nastrojach odnosi się do niej raczej nieprzychylnie albo i wręcz niechętnie? To jest zadanie trudne. Próbuje je jednak nieco wyjaśnić.

W Polsce, jak i wszędzie zresztą, dużą rolę odgrywa pochodzenie, związane z czystością rasy, czyli z problematem t. zw. rasizmu. Biurokracja polska nie może się poszczycić czystością rasy. Jest raczej mieszańcem pierwiastka rodzimego, połączonego z krwią austriacką, rosyjską i niemiecką. Nie jest więc bynajmniej folblutem, jak nie jest nim produkt skrzyżowania, powiedzmy, polskiego gończego z austriackim wyżłem, rosyjskim wilkiem i niemieckim pudlem.

Z takiego skrzyżowania licho wie, co może wyjść w świecie zwierzęcym. Nic też dobrego nie wyszło w świecie ludzkim, który rządzi się temi samymi zasadami dziedziczności, co i świat zwierzęcy. I dlatego tylko ośmieliłem się użyć powyższego porównania, zastrzegając się przed zamiarem obrażenia kogokolwiek.

Otóż składnikami biurokracji są przede wszystkim papierowy formalista austriacki, wpływ którego jest najwydatniejszy na polską rasę biurokratyczną, dalej idzie stupajka rosyjski, który również

uległ ostatnio czarowi papierowego formalizmu i wreszcie na szarym końcu stoi rozsądny pedant niemiecki, który nie wiele ma do powiedzenia w tym ożeanie ustaw, rozporządzeń, przepisów, okólników, w którym rozpaczliwie tonie cała Polska.

Dużej miary prawnik, jeden z autorów Kodeksu Napoleona, François Tronchet w wywiadzie, udzielonym parę lat temu z tamtego świata pewnemu prawnikowi polskiemu, powiedział o naszych ustawach administracyjnych:

— Wszak jest to rzeczą dostatecznie znaną, że sposób układania waszych ustaw bywa niezawsze zrozumiały nawet dla specjalistów, a cóż dopiero mówić o zwykłych obywatelach, wśród których macie tak wielu alfabetów, a którym jednak z reguły odmawiacie prawa tłumaczenia się nieznanomością ustawy. *Ustawa niezrozumiała—to gorzej, niż brak ustawy.*

Zajrzyjcie zatem do szafy biurowej pierwszego lepszego urzędnika administracyjnego, w rodzaju wójta burmistrza czy starosty. Zobaczycie tam taką przytłaczającą mnogość wszelkich ustaw, dekretów, rozporządzeń, przepisów, instrukcyj, okólników, a przytem tak bezładnie porzuczanych na przestrzeni kilkudziesięciu tomów, że ten *nieszczęśliwy człowiek, tonący w powodzi wód ustawodawczych, chcąc nie chcąc musi się ratować na popierowej łodzi biurokratyzmu, płynącego daleko od życia, ale zato zmuszonej trzymać się blisko zbawczych paragrafów.*

Weszliście na niebezpieczną drogę *nadmiernej reglamentacji* biurokratycznej tego, co winno być skierowane zapomocą takich czynników, jak zdrowy rozsądek i dobra wola. Marnujecie energję urzędnika na błądzenie po papierowych labiryntach, wśród których zresztą nietrudno ukryć nieprawość i niedbalstwo, zamiast dać mu więzle, jasne i treściwe dyrektywy celowego postępowania.

Wszystkie resorty administracji prześcigają się wzajemnie w chorobliwym płodzeniu ustaw i rozporządzeń, nie ułatwiających, lecz utrudniających pracę i komplikujących życie zbiorowego obywatela”.

Wszystko to piszę, aby ochronić obecną biurokrację polską przed zarzutami o to, że jest taką, jaką jest. Toż ona inną być nie może. Biurokracja nie jest wcale winna, że miała takich twórców, jak nie była winną Alraune, że miała takich a nie innych rodziców. Usunmy przyczynę zła, a zło się samo usunie.

Pod tym względem mogłaby nam wyświadczyć wiekopomną przysługę — Warszawa, obecna stolica Polski. Jest tam we środku miasta duży plac, na którym niegdyś stał sobór prawosławny. Należałoby zwieźć na plac ten wszystkie ustawy administracyjne, jakie spłodziła i adoptowała od czasu wojny

rządowej, t. zn. nominalnie 45 gr. za kilo, ale po potrąceniu 25 gr. na administrację i t. d, chłop otrzyma na rękę 20 gr.

Nawet najbardziej wszechstronnie przepracowane przepisy nie są w stanie przewidzieć wszystkich możliwych okoliczności. W tych wypadkach pole do popisu ma administracja najniższa. Takt, umiar, umiejętność wnikięcia w psychologję obywatela, przynajmniej bezstronne, jeśli nie można się zdobyć na życzliwe ustosunkowanie, często wpływają kojąco na te bolące miejsca, których ustawodawca nie zamierzał stwarzać, ale które powstały w niedających się przewidzieć specyficznych warunkach.

Miejscowe organy Dyrekcji Lasów — oficjalny teraz dzierzawca Naroczy — odrazu poczęły sobie z pańska, rygorystycznie i nad wyraz samodzielnie: przeszło 2-ch tysięcy chłopów, żyjących z Naroczy pro prostu jakby nie dostrzegły. Dostrzegły natomiast

wiejskich chłopaków łowiących ryby na wędkę. — „Niewolno!” — Chłop zdumiał się początkowo, splunął ze złością, ale jeszcze zarzucał wędkę postaremu.

Nieprawdą jednak jest, jakoby chłopci nie chcieli rozumieć i dobrych stron ustawy: chwalą i czasochronny i siatki przepisowe, gotowi są nawet współdziałać materialnie w miarę swych możliwości z rybiarstwem, byleby móc korzystać z rybołówstwa.

Gdy kazano im zmieniać stare niewody na przepisowe, gdy kazano przestrzegać czasochronny, zastosowali się do tego ściśle i sami siebie nawzajem pilnują. Rozumowali bowiem, że skoro każą zmieniać siatki, to przecież nie po to, żeby wisiały na kołkach. Ale gdy im raz i drugi zabrano nietylko sprzęt, ale i złapaną rybę, ludność naroczańska zażreła się gniewem.

Doszło do tego, co miało miejsce w Pasynkach. Pasynki to nazwa wsi. Ale wśród okolicznej ludności nazwa ta stała się dziś symbolem oporu. Kiedy



wskrzeszona Polska. Ale tak, żeby ani jeden egzemplarz nie pozostał w rękach ludzkich. Nawet w bibliotekach i muzeach. Zrobić z tych papierzyków stos olbrzymi. Oblać dokładnie smołą. I podpalić z czterech rogów. Aby żadna kartka nie ocalała. Tak odbyłoby się całopalenie, oczyszczające Polskę od bakcyliów biurokracji. Jedyna obawa, że plac okazałby się za mały, aby pomieścić wszystkie wydane ustawy. Można powtórzyć parokrotnie.

Wokół płonącego stosu — zgromadzeni reprezentanci z całej Polski sformują korowody, które ze śpiewami i tańcami obchodzić będą plac nokoło. Na tę uroczystość Wilno najchętniej pośle również swoich przedstawicieli.

Na środku placu pozostanie kupa popiołu. Z popiołów tych zrodzi się Fenix — nowe ustawodawstwo, wolne od biurokracji, które, jeżeli będzie miało jedną tylko zaletę, że niczem nie będzie przypominało dotychczasowego, to już przez to samo stanie się doskonałym.

*Bolesław Szyszkowski.*

## Z dawnych anegdot.

*(List do Redakcji).*

W ostatnich czasach panowie publicyści ze „Słowa” niejednokrotnie raczyli poświęcać swoją uwagę mojej skromnej osobie, z niezwykłą złośliwością reagując na moje wystąpienia publiczne. Na krytykę rzeczową, którą zawsze wielce cenię, odpowiedziałbym rzeczowo. W odpowiedzi na złośliwość — pozwolę sobie również być trochę złośliwym, oczywiście, bez wulgarności „Słowa”.

Jeden z pomienionych publicystów posunął się tak daleko, że zaczął mię pouczać, jak należy... mówić po białorusku! Albowiem — używałem terminów cudzoziemskich! — Przypomniało mi to pewną anegdotę, którą słyszałem ongiś w Petersburgu, gdy, jako młody student, uczęszczałem do tamtejszego uniwersytetu. Opowiem ją pokrótce.

Było to na początku XX wieku.

Na wydziale prawnym encyklopedję prawa wykladał podówczas znany zaszczytnie w całym świecie naukowym profesor L. Petrażycki. W swych prelekcjach, na które przychodzili nietylko studenci

prawa, lecz i innych fakultetów, szczerze zapelniając salę, prof. Petrażycki, ze względów zupełnie zrozumiałych, posługiwał się terminologją ogólnoeuropejską. Oburzyło to pewnego młodego słuchacza z grupy nielicznych jeszcze w tym czasie ludzi „iście rosyjskich”. Po skończonym wykładzie wstał i obcesowo zainterpelował prelegenta: czemu używa tak wiele słów obcych zamiast rosyjskich?

Petrażycki chwilę popatrzył na interpelanta i z całą powagą zapytał: „A wy, kolego, kim tu jesteście w naszej uczelni?” — „Student pierwszego kursu drugiego semestru Imperatorskiego Sankt-Petersburskiego Uniwersytetu!” — rezolutnie wyrecytował młodzieniec. — „No, to ileż wy słów rosyjskich użyliście?”. I Petrażycki z niewzruszonym spokojem zaczął analizować po kolei każdy z wypowiedzianych wyrazów. Okazało się, iż student użył dwa wyrazy rosyjskie na... siedem obcych!

Audytoryum wybuchnęło homerycznym śmiechem, a potem zgotowało profesorowi gorącą owację. Niefortunny interpelant ze wstydem wymknął się chyłkiem z sali...

U Petrażyckiego, który swoje prace naukowe pisał po niemiecku, a wykladał po rosyjsku, istotnie od słów obcych roiło się. I ów student napewno lepiej mówił po rosyjsku, niż profesor. Więc interpelacja jego, obiektywnie rzecz biorąc, była w pewnej mierze usprawiedliwiona.

Mój krytyk natomiast jest trochę w innym położeniu. Ani pisze ani mówi pobiałorusku. Ja — i mówię i piszę w tym języku kilkadziesiąt lat...

*Antoni Łuckiewicz.*

## List do Redakcji.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z umieszczeniem w Nr. 10 „Przełądu Wileńskiego” z dn. 28 ma a 1935 r. a tykułu p t. „Jak należy szerzyć Unję”, podpisanego pseudonimem „Activus”, uprzejmie proszę o podanie następującego mego wyjaśnienia:

Nie jest zgodne z prawdą, jakoby wypowiadał zdanie, iż powodzenie Unji uzależnia się od używania w naszych cerkwiach unickich języka rosyjskiego.

Natomiast we wszystkim zawsze się stosowałem i stosuję do wskazówek Jego Ekscelencji Arcybiskupa Metropolity Wileńskiego Romualda Jabrzykowskiego. Pamiętam nadto, że według św. Pawła nie maś Poganina i Żyda, a więc też ani Polaka, ani Rosjanina.

pewnego dnia rybakom z tej wsi łowiącym ryby podwołoką straż jeziorna skontrolowała sieci, które były przepisowe i kazała przybić do brzegu, posłusznie wylądowali. Ale na twardym gruncie chłopci poczuli się pewniej i podnieśli krzyk... Zleciała się cała wieś, zbrojna w kije, cepy i widły... „Nie damy sprzętu, nie damy ryb...”. Straż jeziorna musiała się wycofać, chłopci zostali przy swoim...

Między ludnością i administracją jeziora powstał obecnie stan wojny. Stanu tego nie zlikwidowała ostatnio podróż inspekcyjna wojewody wileńskiego, mimo, że miała niewątpliwie tendencje łagodzące.

Normalny stan rzeczy, któryby pozwolił chłopom korzystać z przysługujących im praw, przynieść może tylko nowelizacja ustawy rybackiej.

Dopóki to nie nastąpi, nie można się dziwić gwałtownej niechęci ludności.

Trzeba bowiem zrozumieć pobudki psychologiczne tego oporu, trzeba pamiętać, czem to jezioro jest dla tej ludności naprawdę. Tu nie chodzi o żadne sentymenty. Chłopci wiedzą, że idzie o ich najżywotniejsze interesy. Odebrać im jezioro, odsunąć od niego, to byłoby to samo, co ptakom podciąć skrzydła.

Narocz i praca nad Naroczy jest dla nich drogą naturą. Pozostawić ich tylko na nędznych kawałkach gruntu, to nietylko zmniejszyć im skąpy kęs chleba, ale rozpołowić ich naturę.

W tych warunkach może dojść do nowych niepodzianek.

*Eugenjusz Gulczyński.*





Co zaś do samego obrządku wschodniego, to otrzymałem od swojej władzy duchownej wskazówkę do pięknego obrządku wschodniego nie wprowadzać pierwiastków obrządku zachodniego, tak samo jak wzbronione jest obrządek łaciński uzupełniać pierwiastkami obrządku wschodniego.

Wobec powyższego, nie może być więc w sferze pracowników unijnych osobnych grup, któreby, według własnych wyłączone poglądów, wprowadzały w życie Unję. Należy wszyscy do Kościoła powszechnego i podporządkowujemy się jedynie dyrektywom władzy kościelnej.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku  
Protoprezbiter *Bazyli Gapanowicz*.

Fasty k/Białegostoku.

D. 5.VII 1935 r.

(Pryp. Red.) Zamieszczamy powyższy list jedynie przez uprzejmość, czyniąc zadość życzeniu autora, bo iem we wspomnianym artykule nazwisko o. Gapanowicza nigdzie nie było przytoczone. W artykule była mowa tylko o niektórych konwertytach z prawosławia bez wymienienia osób. Przysłowie „uderz w stół, a nożyce się odezwą” może w tym wypadku znaleźć świetne zastosowanie.

## Melecjusz Smotrycki a Wilno.

(Z powodu 300-lecia zgonu).

Minęło właśnie 300 lat od śmierci Melecjusza Smotryckiego, który poza Ruskim i Pociem, wybitną rolę odegrał w życiu Cerkwi naprzód dyzunickiej, potem gr.-katolickiej na ziemiach b. W. Ks. L. Smotrycki, to ruski (ukraiński) Szaweł, który się stał Pawłem. Będąc prawosławnym, walczył przeciw dziełu zjednoczenia kościołów i szkodził Cerkwi zjednoczonej, przez całe lat 20, słowem i piśmem, stawiając się za jej wyznawcą, poświęcił znowu cały zapal naprawie tego, co przedtem zdziałał. Niestety, danem mu było przeżyć jeszcze tylko 5 lat.

Urodzony w r. 1578 w Smotryczu koło Kamieńca Podolskiego, jako syn uczonego Harasima, uczył się naprzód w Ostrogu pod kierunkiem rektora szkoły temecznej znanego Cyryla Lukarysa, potem zaś *słuchał filozofii w akademii jezuickiej w Wilnie*. W r. 1605 wyjechał, wraz z księciem Sołomoneckim, dla uzupełnienia wiedzy, zagranicę i uczył się tam na uniwersytetach: wrocławskim, lipskim, norymberskim i in. Pierwszy jego występ antiunijny przypada na r. 1608, gdy napisał odpowiedź p. t. *Antigraf na dwie książki metropolity Pocięja: Herezje ignorancje i polityka popów i mieszczan bractwa wileńskiego* (roz. przy monasterze św. Ducha), wydaną w tymże r. 1608, i *Harmonja, albo Zgoda wiary, sakramentów i ceremonij świętej wschodniej Cerkwi z Kościołem rzymskim* (Wilno 1608).—Drugim jego dziełem, które dało mu wielką sławę i zyskało sympatje wśród prawosławnych, był *Trenos, albo płacz prawosławnej Cerkwi*, gdzie autor w jej imieniu tak przemawiał do współczesnych: „*Niegdyś cudna a bogata, dziś jestem zbeszczeszczona a biedna... Pośmiewiskiem stałam się teraz, a niegdyś byłam podziwem dla ludzi i aniołów*”. W r. 1621 napisał na jeszcze dwie książki: *Weryfikacja niewinności i Obrona weryfikacji*.

Na świecie Smotrycki nosił imię Maksyma, wstąpiwszy zaś w r. 1617 do monasteru św. Ducha w Wilnie, przyjął imię Melecjusza. Jako mnich, Smotrycki był tu nauczycielem nowicjuszków, oczywiście, Białorusinów i pracował nad mową słowiańską, czego owocem była wydana w r. 1618 *Gramatyka słowiańska*, która przez długi czas była podręcznikiem dla nauki mowy słowiańskiej nietylko na

Ukrainie, Białorusi, Litwie, lecz i w Wielkorosji i nawet w dalekiej Serbji. Mnisi prawosławni klasztoru św. Ducha w Wilnie, widząc u konfratry niezwykły talent i rzadką wtedy u prawosławnych oświatę, wybrali go archimandrytą, poczem w r. 1621 patriarcha jerozolimski Teofan wyświęcił go na biskupa. Smotrycki otrzymał odeń nominację na arcybiskupa połockiego i, chociaż król Zygmunt III nie zatwierdził jego wyboru i wystąpił przeciw niemu, pełnił jednak obowiązki arcybiskupa połockiego i silnie szkodził unji, tocząc z nią walkę zaciętą.

Osiadłszy w Wilnie, wysyłał stąd na wszystkie strony mnichów z listami i odezwami, podburzającymi ciemny motłoch prawosławny przeciw unickiemu arcybiskupowi połockiemu św. Józefatowi. Smotrycki przyczynił się w ten sposób do zamordowania św. Józefata, atoli ta śmierć męczeńska dokonała w duszy jego — rzecz dziwna — wielkiej przemiany. Zachwiał się on w prawdziwości i nieskazitelności prawosławia niezjednoczonego i poddał krytyce sumiennej swe dotychczasowe postępowanie względem unji. Dla naocznej przekonania się o wartości prawosławia i moralnych zasad bizantyjskich, jedzie do samego Bizancjum.

Akurat na stolicy św. św. Jana Złotoustego i Ignacego zasiadał dawny nauczyciel Smotryckiego z Ostroga Cyryl Lukarys. Chytry ten Bizantyjczyk i wróg unji, obiecał posłom angielskiemu i holenderskiemu w Carogrodzie, że zjednoczy cerkiew prawosławną z protestantyzmem, skoro tylko pomogą mu dostać się na tron patriarchy w Carogrodzie. Zrozumiał Smotrycki, co święci się tu, i nie poszedł drogą swego byłego nauczyciela. Wróciwszy do kraju, wstąpił zato w ślady swego byłego antagonisty św. Józefata i przyjął jego wiarę. Ani trochę uwagi nie zwracał, co będą o nim z tego powodu mówić i pisać prawosławni. Zrzekł się rychło prawosławnego arcybiskupstwa i przyjął niższe stanowisko w cerkwi unickiej, bo archimandryty monasteru w Dermaniu, gdzie zamieszkał, korzystając z nadania mu jego przez księcia Aleksandra Zasławskiego. Przyjęcia jego do cerkwi unickiej dokonał metropolita Pocię, poczem doniósł o tym ważnym dla unji fakcie pap. Urbanowi VIII. Uradowany papież przysłał Smotryckiemu brewe z wyrażeniem radości z tego powodu. Natomiast prawosławny metropolita Hijob Borecki wystąpił z całym arsenałem kar cerkiewnych przeciw Smotryckiemu, podburzał Piotra Mohiłę i innych mnichów przeciw niemu, lecz Smotrycki niewzruszenie już trwał przy swych przekonaniach.

Dla złożenia homagium papieżowi, wybrał się nawet do Rzymu. Przyjęty tam wielce łaskawie, otrzymał z rąk Urbana VIII tytularne arcybiskupstwo hieropolitańskie. Po powrocie z Rzymu Smotrycki pracował ze zdwojoną gorliwością na chwałę i pożytek kościoła powszechnego tak na polu naukowym, jak literackim. M. in. wydał w r. 1629 w Krakowie *Upomnienie do wileńskiego bractwa św. Ducha i do całego narodu ruskiego*, więc Białorusinów i Ukraińców.

Umierając kazał podać sobie do ręki brewe Urbana VIII i położyć je z nim razem do grobu.

Szczaćki śmiertelne Smotryckiego spoczywają w dawnym klasztorze bazylikańskim w Dermaniu, co jednak nie zmienia tego faktu, że ten wybitny władca a niepospolity uczonej całości życia działalnością ściśle był związany z Wilnem. *Grek.*



## O pochodzeniu nazwy „Druja“.

Od czasów bodaj Litwy Środkowej ujawniono niejednokrotnie dążność, by dotychczasową nazwę *Druja* dla naddźwińskiej miejsciny, zastąpić nową nazwą *Sapieżyn*, jako rzekomo od tej dawniejszej, a budzącą samem już brzmieniem wspomnienia o zasłużonym rodzie Sapiehów, wyszłym wprawdzie, z podłoża niepołskiego, lecz dziś już gruntownie spolszczonym. Właśnie władał on niegdyś *Drują*, która była bodaj najbardziej wysuniętą na północ jego posiadłością. Zakusy co do zmiany nazwy jej jednak powodzenia większego nie miały i próba, jak dotychczas, nie powiodła się.

Pewne światło na pochodzenie nazwy *Druja* rzuca gruntowna rozprawa Mikołaja Rudnickiego, którą znajdujemy w wydanych ku czci Al. Brücknera „Studjach Staropolskich”. Tytuł jej „O nazwie rzecznej: *Drwęca*” może, w pierwszej chwili, wywołać, zarzut taki: Cóż może mieć wspólnego rzeczka *Drwęca*, nad którą leży słynny ongi swymi rycczami i ich zamkiem Dobrzyń z daleką stąd *Drują* nad *Dźwiną Zachodnią*?! Gdzie Rzym, gdzie Krym?... A jednak. Przypomnijmy sobie tylko głęboko w rzeń Mazowsza zapuszczające się wyprawy dawnych Litwinów, najścia ich na wyłaniającą się z niebytu historycznego osadę *Warszawa*, na ich napady, których widownią było pradawne księstwo *Płockie*... Fr. Bujak w swych „Studjach Geograficzno Historycznych” mówi, że oprócz tych napadów, raczej: *po nich i dzięki nim*, historia notuje znaczną kolonizację litewską na Mazowszu, jaka w chwili największego swego nasilenia odległa już była od *Warszawy zaledwie o 30 klm.*! Graficznie nie miała ona kształtu wąskiej strzały, lecz była podobną raczej do wachlarza, który prawem swem skrzydłem zmierzał od *Warszawy* właśnie ku *Bałtykowi*. Dlatego pewne wpływy w formacji nazw rzek i miejscowości musiały być, chociaż to brzmi dziwnie, podobne na Litwie i w ziemi Dobrzyńskiej, gdzie spotykamy takie np. nazwy, jak *Libawkę*, *Bielicę*, *Branicę* i in., ale to mimochodem.

Rudnicki, w zgodzie z Brücknerem, nazwę rzeki w ziemi Dobrzyńskiej *Drwęca* wyprowadza od starosłowiańskiego *drwo*, które oznacza drzewo rosnące. Okazuje się, że wyraz ten jest słowiańskim zapożyczeniem ze starożytnej greki, gdzie *drus* znaczy *dąb*, a liczba mnoga od niej będzie *drua—dęby*. Rudnicki, acz pisząc o *Drwęcy*, nie znał i zapewne nawet nie myślał o *Druji*, posunął jednak tem zestawieniem b. znacznie sprawę rodowodu tej nazwy.

Lecz co mają Grecy i dęby do *Druji*? Jeśli chodzi o nazwę, to nawet wiele. Uprzypomnijmy sobie, że *Dźwina Zachodnia* była, dla swego położenia, ważną arterją drogi wodnej, która wiodła, jak mówiono niegdyś, *z gockiego brzegu do anatolskich grodów*, innemi słowy był to *put' iz Wariagow w Greki* i odwrotnie. Wędrujący widać tędy dla zdobycia bursztynu Grecy, napotkali tu osadę rybacką, zalesioną wokół i mającą naprzeciw na środku *Dźwiny—porośniętą wtedy wiekowemi dębami* wyspę, czego ślad na niej do dziś, w postaci mniej już wspaniałej dębiny widzieć można. Nie było więc nic łatwiejszego i naturalniejszego jak ochrzcić w takim wypadku tę znaczoną gajem dębowym miejscowość nazwą *drua — dęby*, stąd z biegiem czasu utworzyła się zmiekkzona nasza forma *Druja*. Ponie-

waż greckie *drus* w języku poetów ma znaczenie naogół *drzewa*, wyraz *Druja* może oznaczyć tyle, co *leśna*. Pochodniami od niej są nazwy pobliskich rzeczek *Drujka* i osady już na łotewskiej stronie *Przydrujsk*. Dla nich wszystkich *dęby*, wzgl. zadrzewienie stanowią cechę charakterystyczną.

Etymologią *Drwęcy*, a więc ubocznie i naszej *Druji*, zajmował się również zmarły świeżo, a wielce dla przyrodoznawstwa porównawczego zasłużony prof. J. Rozwadowski, który doszedł do tychże wniosków, co wyżej, czyli że *Drwęca*, to dawna *Druentia*, *Drouentas...*, urobiona od pierwiastku greckiego, który się odczuwa nawet w dzisiejszem francuskim *Durance*. Wywody Rozwadowskiego przyjęli zgodnie wszyscy: *Szachmatow* (Rosjanin), *Buga* (Litwin), tylko *Gerulis* (prof. u-tu królewieckiego) zastrzega, się że uważa ją zasadniczo za staropruską, co jest znowu mało prawdopodobne. Słownictwo bowiem staropruskie wogóle doszło do nas w stanie bardzo skąpym i *Gerulis* nic przekonywującego przytoczyć nie potrafił. Faktem jest, że pierwiastek, z którego, zdaniem *Gerulisa*, nazwa *Drwęca* została utworzona, występuje w językach bałtyckich, mianowicie w *litewskim i łotewskim* i od nich trafia do białoruskiego, *brak zaś tego pierwiastka w zabytkach staropruskich*. Uczni językoznawcy mają nawet termin csobny: odpowiedniość formalno-znaczeniowa.

Dla ścisłości notujemy tu opinię *Sprogisa*, który cytuje nazwę rzeczną *Drev-ina*, sformowaną zapomocą sufiksu: *-ina*. Por. analogiczne *dąb—dębina*,

Z badań Rudnickiego niewątpliwie wynika, że nazwy wodne w językach bałtosłowiańskich, a taką jest i *Druja*, tak ściśle związana z wodą swoim powstaniem, rozwojem i dzisiejszym upadkiem urabiają się za pomocą sufiksu *ont* i *ent*. Więc z dawnej *Dru entia* powstały późniejsze *Dobrzyńska Drwęca* i *brasławska Dru ja* (starosłowiański *jus*, poprzednik *jati*, był zawsze dźwiękiem nosowym).

Jeśli ten wywód jest słuszny, świadczyłoby to o pradawnem sąsiedztwie Słowian i Bałtów w dorzeczu dolnej *Wisły* na prawym jej brzegu, a raczej na granicy dorzecza *Wisły* oraz dorzecza rzek uchodzących (jak *Dźwina Zachodnia*) do *Bałtyku* na wschód od *Wisły*.

Więc ma być nie *Sapieżyn*, lecz zawsze *Druja Jadźwing*.

## Biblijografja.

Tochtermann Jan Jerzy. *Troki*. Zarys autropogeograficzny. Rozprawy Wydziału III T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie. T. IX. Zesz. 1. Wilno 1935.

Szczupła, bo licząca zaledwie 24 strony (z których 5 obejmuje streszczenie w jęz. niemieckim) broszura p. Tochtermanna może służyć za dowód, że dla umysłu badawczego, uzbrojonego w nowoczesne metody naukowe niema tak błahego tematu, którego by nie potrafił wyzyskać i odpowiednio sprepować.

Cóż, zdawałoby się, można napisać o współczesnych *Trokach* z punktu widzenia naukowego? Mała miejscina, na którąby nikt nie zwrócił uwagi, gdyby nie jej malownicze położenie i świetna przeszłość historyczna, jakież może zawierać materiał dla naukowego badacza? A jednak p. Tochtermann potrafił wycisnąć z niej aż 18 stron treści. Wykreślił izohypsy i ekwidystanty, obliczył ilość domów według kategorii (murowane, drewniane, parterowe,



piętrowe), zbadał dokładnie ile jest dachów gontowych, blaszanych, dachówkowych, dranicowych etc., podał w odsetkach ilość domów zwróconych do ulicy szczytem oraz licem, porównał spisy ludności dawne i obecne pod względem narodowościowym i wyznaniowym, wreszcie uwzględnił gęstość rozmieszczenia budynków oraz gęstość zaludnienia na jeden kilometr i na jeden budynek, — i rozprawa gotowa.

Monografia p. Tochtermanna pozwala nam zrozumieć różnicę, jaka zachodzi między ujęciem naukowym przedmiotu, a opisem krajoznawczym. Jakis literat — turysta, wzorem Syrokomli, niewątpliwie uzupełniłby suche dane statystyczne informacjami historycznymi i etnograficznymi, ubarwiłby je swymi spostrzeżeniami i wrażeniami, słowem dałby obraz Trok o wiele pełniejszy i żywszy, ale wskutek tego właśnie nie odpowiadający wymaganiom naukowym.

P. Tochtermann odrzucił balast historyczny i etnograficzny, jako nie wchodzący w zakres jego specjalności, natomiast aby udowodnić nie budzącą żadnych wątpliwości prawdę, że Żydzi skupiają w swych rękach cały handel, wykreślił dwie specjalne mapy: jedną wyznaniową a drugą rozmieszczenia sklepów i rzemiosł. Porównyując je mógł już stwierdzić z całą pewnością, że dzielnica handlowa, w centrum miasteczka, mieszcząca w sobie większość sklepów trockich, jest zamieszkała wyłącznie przez Żydów...

Można było wprawdzie o tem przekonać się również inną drogą, przejrzawszy rejestr handlowy, ale byłaby to metoda zbyt uproszczona, a więc zapewne sprzeczna z zasadami antropogeografii, wymagającej dla określenia granic miasta przeprowadzenia w odległości 50 m. od najdalej wysuniętych na peryferjach budynków mieszkalnych — ekwidystanty.

Imponujący termin naukowy.

cz.

*Kauno Jezuitor Gimnazija. Pirmasis dešimtmetis 1924—1934. Kaunas 1934.*

Dla upamiętnienia pierwszego dziesięciolecia swej pracy, gimnazjum ks. jezuitów w Kownie wydało świeżo książkę pamiątkową, mającą charakter bądź sprawozdania z działalności, bądź albumu.

Wydawnictwo rozpoczyna się od *motta* i podobizny Piusa XI, który złożoną na to gimnazjum ofiarą pół miliona litów znacznie się przyczynił do jego powstania. Dalej idą cytaty z dzieł i portret Prezydenta Smetony, jego małżonki i całej rodziny, która zostaje do dziś w bliskim kontakcie z gimnazjum wzmiankowanym, jako że synowie Prezydenta tu się uczyli, p. Prezydentowa zaś była nawet prezeską komitetu rodzicielskiego i obecnie jeszcze piastuje honorowo to stanowisko. Oczywiście, w ciągu dalszym wydawnictwo zawiera podobizny arba Karewicza, który jezuitów ponownie do Litwy wprowadził, i życzliwego ich protektora, obecnego metropolity dr. Skwireckiego. Z kolei następują artykuły, jakie objaśniają czytelnika o zadaniach *Societatis Jesu* i przypominają dzieje zakonu w Litwie, przerwane brutalną ręką rządów carskich przed 125 laty. Otóż praca jezuitów w Kownie datuje się od r. 1588 i może się wykazać szeregiem zasłużonych

ojców, jak Bludecki, Szrubowski, dwaj Kojalowicze, Sobolewski, Giedrajtis, Łęczycy, Zieniewicz, Raczyński, Laudański, Borowski, Sieklucki, Milwid i w. in.

Pierwszym jezuitą, który po wojnie osiadł w Kownie, był o. Andruszko. Ponieważ jednak ani on, ani drugi Litwin jezuita z Ameryki, o. Muszlis, sami nicby nie poradzili, wypadło z konieczności zaangażować kilku Niemców jezuitów (o. o. Kipp, Fegner, Fulst, Riathmeister, Boegner, Klein, Südhof), by jakoś praca na szerszą skalę stała się w Litwie możliwą. Przybyli zakonnicy nadzwyczaj rychło a poprawnie nauczyli się władać mową litewską tak w słowie, jak w piśmie, co im dało możliwość swobodnie wyklądać w gimnazjum, pracować na ambonie i w konfesjonale, prowadzić rekolekcje i misje, wydawać *Žvaigždė*, pisać książki i t. d. Gimnazjum ks. jezuitów w Kownie mieści się przy kościele św. Stanisława Kostki, w przebudowanym *ad hoc* dużym kosztem kompleksie budynków kościelnych (zabranych swego czasu na cerkiew). Jest to jedyny bodaj w Kownie budynek o płaskim dachu, służącym za ulubione przez ojców i młodzież miejsce dla spędzenia czasu na świeższym niż u dołu powietrzu, i napawania się nader pięknymi widokami na pobliskie Niemen i Wilję, zlewające się tu w jedną już wielką rzekę.

Chlubą gimnazjum są: duży a bogaty gabinet fizyczny, nader zasobne muzeum przyrodnicze... Jest liczny chór i różne orkiestry: rżnięte, dęte, perkusyjne... Omawiane sprawozdanie — album zawiera liczne fotografie różnych uroczystości religijnych i narodowych, zaszczyconych obecnością wysokich dygnitarzy duchownych i świeckich. Zwłaszcza popisom teatralnym sprzyja posiadanie odpowiedniej sali, gdzie wystawiono utwory klasyczne, oratorium pasyjne i in. niezbyt łatwe produkcje.

Czyż do powyższego trzeba jeszcze dodać, że sport, gry, wycieczki, przysposobienia są tu na porządku dziennym, mając zapewne poparcie z góry i jednając zespół wśród chłopców? Próbkę humoru (jezuici zwykle doceniają wartość jego w życiu) są zdjęcia, zatytułowane *Netikėti momentai...* Gimnazjum posiada własne letnisko w uroczej miejscowości nad Niemnem, o czym świadczą liczne tam dokonane zdjęcia widoków Niemna, mszy szkolnych *sub dio* i in.

Wśród wychowanków gimnazjum jezuitów w Kownie, dominują wśród organizacji szkolnych socalicje marjańskie, odpowiednik naszego Odrodzenia, skautyzm...

X-lecie ubiegłe zdążyło już poczynić szereg szczerb wśród uczących i uczących się. Odeszli z tego świata o. o. Klein i Stańczyk i 6 uczniów.

Gdy tak kończę sprawozdanie z tego luksusowego (co za papier! klisze!) wydawnictwa, otrzymuję wiadomość, że mimo całej lojalności, językowej z litewskim środowiskiem asymilacji i tylu zasług, czterej Niemcy jezuita muszą, wobec kierunku antyniemieckiego polityki litewskiej, opuścić teraz Litwę. Wobec tego pozostaje tylko życzyć, by nowa generacja jezuitów Litwinów mogła z punktu podjąć się przypadającego jej dziś trudnego zadania i szczęśliwie mu sprostać.

Fid.

